Później wybuchła wojna, a mój ojciec zainteresował się elektroniką, bez żadnego przygotowania, bez wykształcenia; znalazł kogoś z kwalifikacjami, założył z nim mały sklep elektryczny i zaczął zarabiać.

A w 1947 roku, po praktykach u Portorykańczyka, który miał sklep elektryczny pod naszym mieszkaniem przy 1005 East 151st Street, tata na podstawie schematu instalacji przewodów skonstruował odbiornik telewizyjny. Wciąż to pamiętam. Był rok 1947. Telewizor wynaleziono w 1946, czyli rok wcześniej. To był mały odbiornik z ośmiocalowym ekranem, ale oglądaliśmy na nim World Series[1]. Do finału doszły wtedy drużyny Yankees i Dodgers. Pamiętam, że brałem po pięćdziesiąt centów od dzieci, które chciały oglądać u nas mecze. To było naprawdę wspaniałe. Problem był tylko jeden, jak zwykle – jak mówiłem, mój ojciec nie przepadał za pracą. Kiedy powiedziałem: „Słuchaj, tato, to żyła złota. Ty się na tym znasz. Wszyscy ci pomożemy. Możemy zrobić drugi telewizor. Teraz każdy chce sobie taki kupić", on stwierdził: „Nie, nie. Zrobiłem jeden. Następny nie byłby już wyzwaniem. Przykro mi, nie jestem zainteresowany".

Zasmuciło mnie to. Potem zrozumiałem, że jedyną drogą wyjścia z biedy jest edukacja. Zrozumiałem to bardzo, bardzo wcześnie. Uwielbiałem szkołę. W szkole panował porządek, było czysto i schludnie, żadnego chaosu. Bieda przestawała się liczyć. W tamtych czasach nauczyciele naprawdę zasługiwali na podziw. Byli prawdziwymi bohaterami. Pracowali w biednych – a czasem też niebezpiecznych – dzielnicach i nie tylko realizowali program szkolny, lecz także udzielali nam lekcji życia, uczyli nas, jak ważne są warunki sanitarne i higiena osobista. Do dziś pamiętam, jak nakryć do stołu. Już wtedy zorientowałem się, że robią coś naprawdę wyjątkowego, i doceniałem to.

Byłem bardzo dobrym uczniem, dlatego ze szkoły publicznej numer 25, do której chodziłem na początku, przeniosłem się do szkoły publicznej numer 52, czyli do gimnazjum dla chłopców. Kiedy je skończyłem, spędziłem semestr w liceum Stuyvesant High School, bo po męskim

[1] Mecze finałowe ligi Major League Baseball, najważniejszej amerykańskiej ligi baseballu (przyp. tłum.).

gimnazjum powiedziałem: dość. Dość towarzystwa samych chłopaków. Stuyvesant High School było wspaniałe. Miało naprawdę wysoki poziom. Przepisałem się jednak do James Monroe High School na Bronksie, bo chodziło tam dużo ładnych dziewczyn i kilku moich przyjaciół. Potem – na przełomie 1947 i 1948 roku – moja rodzina przeniosła się do dzielnicy North Hollywood w Los Angeles, w stanie Kalifornia. Ojciec miał siedem starszych sióstr i dwóch młodszych braci. Wszyscy tam mieszkali i naciskali na niego, żeby się przeprowadził, żeby cała rodzina była razem. Dlatego tam pojechaliśmy. A właściwie polecieliśmy takim małym samolocikiem DC-3. Ktoś mi powiedział, że ten model wykorzystano w filmie z Clarkiem Gable'em i Carole Lombard. Kosztowało to majątek.

Minęły dwadzieścia cztery godziny, zanim z lotniska LaGuardia dostaliśmy się do Burbank. Po drodze musieliśmy zrobić trzy albo cztery przystanki, ale dla nas, dzieci, to było bardzo ekscytujące. Niestety, w 1948 roku Hollywood przeżywało kryzys. Przemysł filmowy obawiał się, że zostanie wyparty przez kasety wideo. Wiele przedsiębiorstw sektora obronnego traciło kontrakty rządowe. Toteż kiedy tam przyjechaliśmy, ojciec nie mógł znaleźć pracy. (*śmiech*) I skończyło się tak, że byliśmy jeszcze biedniejsi niż w Nowym Jorku, tylko teraz byliśmy biedni w pięknym otoczeniu.

Naprawdę trudno się tam żyło. Ale miejsce było przepiękne. Robiło na mnie niesamowite wrażenie, bo przyjechałem z Bronksu, gdzie otaczał mnie beton, stal i asfalt. Pamiętam jeden przykład. Na wykładach zawsze pokazuję zdjęcia Bronksu – nie tylko domów, lecz także całej okolicy. Nasz plac zabaw był wyasfaltowany. W weekendy go zamykali, więc żeby się tam bawić, musieliśmy przejść przez ogrodzenie. Wyobrażasz to sobie? Nie było tam żadnej zieleni, trawy, kwiatów ani drzew. Przynajmniej raz w roku musiałem iść siedem przecznic do St. Mary's Park, bo mieliśmy zadany jakiś projekt, na przykład budowę indiańskiej osady, a wiedziałem, że w St. Mary's Park rośnie jedyna brzoza na całym Południowym Bronksie.

Szedłem tam i odcinałem kawałeczek kory, żeby zrobić maleńkie brzozowe kanoe. Chyba nawet wciąż je mam, chociaż minęło już tyle lat.

I nagle przenosisz się do North Hollywood i wszędzie widzisz drzewa i kwiaty. To miejsce, które wyglądało jak raj, później stało się moim osobistym koszmarem. W dzieciństwie zawsze byłem bardzo popularny. Zapracowałem na swoją popularność. Mam na myśli to, że zawsze byłem przewodniczącym, wiceprzewodniczącym, kapitanem, zastępcą kapitana wszędzie, w drużynach sportowych, w klasie.

Dlaczego?

Żeby to wyjaśnić, znów muszę bardzo cofnąć się w czasie. Kiedy miałem pięć i pół roku, zachorowałem na obustronne zapalenie płuc i krztusiec. Krztusiec to choroba zakaźna. To było w listopadzie 1938 roku. W tamtych czasach w getcie łatwo było złapać różne choroby zakaźne. Ludzie mieszkali bardzo blisko siebie, w niehigienicznych warunkach, oddychaliśmy skażonym powietrzem – wszystko, co najgorsze. Tak jest w każdym getcie na świecie. Kiedy zachorowałem na zapalenie płuc, miałem pięć i pół roku. Dzieci z chorobami zakaźnymi szły do szpitala przy… zdaje się, że przy East River Drive na Manhattanie – nazywał się Willard Parker Hospital. To był szpital dla wszystkich dzieci z Nowego Jorku, chyba od dwulatków do starszych nastolatków. Leżały tam, dopóki całkiem nie wyzdrowiały.

Ja spędziłem w nim pół roku, wydaje mi się, że od listopada 1938 mniej więcej do Wielkanocy, czyli do kwietnia 1939 roku. Problem polegał na tym, że nie było dla nas lekarstw. Nie wynaleziono jeszcze penicyliny ani sulfonamidów[2]. To znaczy, że wszystkie te dzieci chore na błonicę, szkarlatynę, polio i co tylko przyjdzie ci do głowy, nie dostawały żadnej pomocy medycznej. Nikt nie wpadł jeszcze na pomysł ćwiczeń statycznych, pozwalających na rozciąganie i ćwiczenie mięśni w pozycji leżącej, więc po prostu tkwiło się w łóżku i nic więcej. A właściwie tkwiło się w łóżku i czuło coraz gorzej. Mięśnie ulegały atrofii. A poza tym dzieci umierały.

[2] Penicylina została odkryta w 1928 r., ale weszła do powszechnego użycia jako lek na zakażenia dopiero 14 lat później. Eksperymenty nad zastosowaniem sulfonamidów rozpoczęto w 1932 r.

Nadal pamiętam ten widok: długie sale z rzędami łóżek ciągnącymi się, jak okiem sięgnąć.

Lekarze przychodzili na obchód, brali twoją kartę, czasem pytali: „Jak się czujesz?", a ty odpowiadałeś: „Och, okropnie". A oni zaznaczali to w karcie. Pielęgniarki pojawiały się tylko po to, żeby zmierzyć ci temperaturę. A później budziłeś się rano i pytałeś:

– Siostro, gdzie jest Billy?
– Och. Wrócił do domu – odpowiadała.
– A dlaczego się nie pożegnał?
– Bo mu się spieszyło.

Następnego dnia rano puste było łóżko Mary. Nagle orientowałeś się, że wokół panuje zmowa milczenia, że umierają kolejne dzieci, czemu trudno się dziwić, a pielęgniarki nie mogą nam o tym powiedzieć, więc kłamią, że ktoś wrócił do domu. Straszne było to, że my, pacjenci, musieliśmy uczestniczyć w tej zmowie, bo wszyscy chcieliśmy wrócić do domu, ale nie w ten sposób. A tę koszmarną sytuację pogarszał jeszcze fakt, że w szpitalu nie było radia ani telewizora. Rodzice nie przysyłali nam listów ani nie dzwonili. Zresztą, biedni ludzie i tak nie mieli w domu telefonu. Odwiedziny były raz w tygodniu, w niedzielę, i trwały godzinę. Dla dziecka tydzień w szpitalu to niewyobrażalnie długo. Kiedy w końcu przychodziła niedziela, rodzice przyjeżdżali razem z moim rodzeństwem. Widzieliśmy się przez wielką przeszkloną ścianę, do której pielęgniarze przysuwali moje łóżko. Były tam telefony i przez nie się rozmawiało. I oczywiście wszyscy płakali.

Ja płakałem, bo chciałem już wrócić do domu, a oni pewnie płakali, bo tak marnie wyglądałem. No wiesz, byłem bardzo blady. A z obustronnym zapaleniem płuc i krztuścem ciężko się je. Nie masz ochoty wkładać nic do ust, bo połączenie tych dwóch chorób utrudnia przełykanie i oddychanie. Coraz bardziej traciłem na wadze. A więc na mój widok ciągle płakali. Były cztery tury odwiedzających. Kiedy przychodziła piąta, pielęgniarze odsuwali łóżko od ściany. Odwiedziny nigdy nie trwały dłużej niż godzinę, chociaż wydaje mi się, że oficjalnie powinny trwać

dwie. I, naturalnie, leżałem w szpitalu zimą, a moja matka była wtedy w ciąży. Miałem już dwóch braci, Donalda i George'a, młodszych o trzy lata i o półtora roku. Matka była w ciąży z moją siostrą Verą. George miał na jednej nodze aparat ortopedyczny. Chorował na polio, ale miał łagodną odmianę.

W tamtych czasach zimy w Nowym Jorku były naprawdę ostre. Spadło dużo śniegu. Z naszego domu na Bronksie trzeba było przejść mniej więcej sześć przecznic na dworzec, potem jechać jakieś pół godziny pociągiem, a na koniec pokonać następnych pięć czy sześć przecznic do szpitala przy East River Drive. Kiedy padał śnieg, moja matka nie mogła mnie odwiedzić. Rzecz jasna, nie mieliśmy samochodu. Czekałeś więc cały tydzień, a czasem nikt nie przychodził; do tego rodzina nie mogła cię nawet uprzedzić, że jej nie będzie. To było niesamowicie dołujące.

Jak sobie z tym radziłeś jako dziecko?

Radziłem sobie z tym tak, jakbym był dorosły. Tak to wyglądało. Doszedłem do wniosku, że skoro nie mogę liczyć na lekarzy, nie mogę liczyć na rodziców, nie mogę liczyć na nikogo, to będę liczył na siebie i na Boga. Stałem się bardzo religijny, modliłem się każdego ranka: „Pobłogosław mnie, Ojcze. Jest mi ciężko. Chcę żyć. Chcę być zdrowy, silny, odważny i mądry, więc potrzebuję twojej pomocy". No wiesz, „obiecuję, że będę grzeczny, kiedy stąd wyjdę" i tak dalej. „Spraw, żebym jak najszybciej wyzdrowiał". Później odmawiałem też krótkie modlitwy w ciągu dnia. Ale moja rodzina nie była religijna.

Rodzice nigdy nie chodzili do kościoła. Zachęcali mnie, żebym zabierał na mszę młodszych braci. A tu każdego ranka umierały dzieci. Uświadomiłem sobie, że Bóg nie zabijałby małych dzieci, więc założyłem, że kiedy gasną światła, przychodzi diabeł, żeby dokonać selekcji. Jaka była rozsądna strategia w tej sytuacji? Oczywiście, nocą modliłem się do diabła, żeby nie wybrał mnie. Nadal czuję się winny, bo mówiłem mu: